TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 43. *Chicago, Ills., 21 Kwietnia, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dokończenie.)

Któż opisze tej matki szczęście, opłakiwane odzyskującej dziecię, po tylu latach smutku, który miał chyba z życiem się zakończyć? Jak tylko urzędowy akt adoptacyi został dopełniony, do którego i pan Podskarbic się pisał, zawarowawszy sobie dożywotnią pensyę i swobodę rozporządzenia resztkami swojego mienia na rzecz własnej rodziny... matka zajęła się wyprawą syna, który z imieniem wojewody i matki dziedziczył teraz znaczne dobra, i musiał odpowiednio do nowego stanu swego wystąpić.... Dla Leliwy był to jakby sen czarowny; przecierał oczy, aby się przekonać, że to wszystko, co się z nim w niewielu stało godzinach, nie było marzeniem i ułudą. Naprzód pobiegł po Brzeskiego, aby ex-wojewodzinie przedstawić, jako swojego opiekuna i człowieka, któremu winien był ocalenie.... Nie wiedział zaprawdę, bo mu Brzeski nigdy ze wszystkiego się nie spowiadał, jak dalece wiele był mu dłużnym, i jak choć późna skrucha tego człowieka wpłynęła na dalsze jego losy. Brzeskiego znała dobrze ex-wojewodzina, ale z najgorszej strony, było więc dla niej niepojętem, iż się tak mógł odmienić.

Padł on z płaczem do nóg jej, a gdy doń wyciągnęła rękę, rzekł tylko głosem stłumionym:

— Pani, nie jestem godzien...

— Niech ci Bóg za mnie zapłaci — zawołała matka — dla nas będziesz odtąd przyjacielem, wierzycielem naszym, bośmy ci nieskończenie dłużni....

Jankowi wszystkich tych radości nie dosyć było. Wyspowiadał się przed matką, iżby miał na sumieniu gdyby teraz swobodny, nie poszedł przybranej swej macierzy, starej poczciwej Hruzdzinej odwiedzić.

— Ona mi była drugą matką, i starań jej, a dobroci nigdy nie zapomnę. Wyrzucałbym sobie niewdzięczność... pozwólcie mi umyślnie pojechać na Prądnik i wziąść od niej błogosławieństwo....

Chociaż ex-wojewodzina jednej chwili nie chciała teraz stracić i zazdrośną była o to dziecko, tak, że mu się prawie oddalić na chwilę nie pozwalała, musiała się zgodzić na usilną prośbę, od siebie dodając dla staruszki podarki i pamiątki... Gdy nadeszła chwila wyjazdu, zaczęła się niepokoić, nie pozwoliła Jankowi jechać samemu, prosiła Brzeskiego, aby mu towarzyszył. Dobrano konie i służbę, a wybór w drogę chłopca, co do pieszczot nie nawykł wcale, prawie go zawstydził... Na samem wyjezdnem dopiero wśród tego zamętu, przypomniał sobie, iż p. pisarzowę i Ewunię trochę zaniedbał.... Pobiegł więc tam jeszcze, w porę zaprawdę, bo dziewczę znowu było we łzach.... Teraz się ono więcej trwożyło o swego Janka, niż gdy był ubogim, i szeptała rzucając się na szyję siostrom:

— Jakże on teraz może chcieć mnie kochać i myśleć się kiedy ze mną ożenić! O niego najpiękniejsze starać się będą. On już Ewuni nie zechce...

Pisarzowa, choć niby nic nie wiedziała, choć o niczem wiedzieć jej nie wypadało, nie była też bez obawy o przyszłość. Nie mogła wszakże żadnego uczynić kroku, trzeba było sprawę opatrzności polecić. Gdy w progu teraz pokazał się Janek w nowych swych sukniach, z blaskiem na twarzy, jaki szczęście daje, rozjaśniło się oblicze pisarzowej, i w pierwszym wybuchu radości uścisnęła go jak syna.... Janek schylił się do kolan.... Ludwika, która była w salonie, strzałą pobiegła po Ewunię.

— Chodźże, choć — zawołała — narzeczony twój przyszedł.

— Cóż ty pleciesz! — rumieniąc się ze wstydu i wesoło, odparła Ewunia — pewno Janek? Ale ja tak zaraz biedz sama do niego nie mogę; chodźmy pomalutku (tylko prędko) wszystkie razem.

Z tego pomalutku, tylko prędko, naśmiały się siostry i weszły śmiejąc się jeszcze do sali. Janek przerwał rozmowę, spiesząc na powitanie Ewuni... Przyniósł był z sobą wprawdzie aż trzy bukiety od matki dla panien pisarzówien, jednak bukiet Ewuni był jakiś odmienny. Opasywały go gęste, niezapominajki, za niemi szły kwiatki myśli... a w środku śmiały się róże. Język kwiatów nie dzisiejszym jest wynalazkiem. Ewa patrząc mu w oczy, figlarnie odebrała swój bukiet, który rozpoczął rozmowę. Siostry jakoś znalazły coś niesłychanie pilnego i ustąpiły, matka także była niezmiernie zajętą, mogli kilka słów do siebie przemówić bez przeszkody.

— A widzisz pan — szepnęła Ewa — że miałam słuszność bronić panu księdzem zostać; pięknieby to teraz było....

— Mógłżem na taki cud rachować?

— Człowiek tylko na cuda i na Boga liczyć może z pewnością — odezwała się Ewunia rezolutnie — na inne swoje plany, nigdy...

— A na serca? — spytał Janek.

— Jak jakie — mówiła Ewa — na serce s i o s t r y zawsze.

Janek w rękę pocałował, i nikt tego nie postrzegł, jak się ręce ścisnęły.

— Ja jadę do Krakowa, ale wracam za dni kilka....

— Do Krakowa? a toż po co?

— Podzielić się mojem szczęściem z tą, która się ze mną, gdym był biednym sierotą, swojem dzieliła ubóztwem, z poczciwą dobrą wieśniaczką, która mnie wychowała.

— A! jedź pan! jedź! — przerwała z uniesieniem Ewa — wdzięczność taka przynosi błogosławieństwo Boże, a siostraby pragnęła, aby wszystkie niebios łaski i błogosławieństwa na głowę brata spłynęły.

Po krótkiej jeszcze rozmowie, Janek pożegnał panią pisarzowę, oznajmując jej także, że wyjeżdża. Matka ściskając wyprowadziła go na schody ganku, poleciła Brzeskiemu, ludziom, i powóz raźną zaprzężony czwórką potoczył się ulicami Warszawy. Tegoż dnia pan Podskarbic w lektyce pożyczonej z saskiego pałacu, kazał się przenieść do swojego mieszkania; miał najmocniejszą nadzieję, iż tam wypocząwszy, za parę dni u hrabiny Estelli banczek pociągnie...

Janek, z uczuciem dziwnem zbliżał się teraz do Krakowa.... łzy mu się kręciły w oczach, miasto tak mu się wydawało dziwnem, tak innem choć tem samem!.... Wszystko jakoś zmalało, zbiedniało, opustoszało... a mimo to tak było serdeczne i kochane. Nie mogąc wytrzymać w bryce, wysiadł i pobiegł witając się z kamieniami i ścianami.... W rynku jakby wczoraj otwarty handel p. Materskiego pod zieloną wiechą. Stary gdera i złośnik wyprawiał zwykle swe harce z chłopcami i właśnie miał kułak, wedle swego obyczaju, podniesiony do góry, gdy w progu zjawił się Janek.

Któżby w tym paniczu poznał dawnego chłopca... P. Materski podniósł nań oczy i wpatrzył się nie mogąc zrozumieć, co to za dziwne widmo stało przed nim.

— Jakto, pan mnie nie poznajesz?

— A — a — nie poznaję, bo nie znam... — zawołał Materski.

— Mnie, mnie waćpan nie znasz? — rozśmiał się Janek... poskakując do kątka, w którym był zwykł siadywać, i zajmując dawne miejsce — No? a teraz?

— Juściż nie Janek...

— A Janek! panie Materski, tylko odnowiony! — krzyknął rzucając mu się na szyję chłopak....

— Tak, tak — dodał Brzeski z progu, bo szedł za nim i na krok go odstąpić nie chciał. — P. Jan Leliwa.... syn pani ex-wojewodzinej.

— Jaki syn?.... co za bałamuctwa...

— Bajki żywe, we śnie — dodał Brzeski. — Daj lampkę miodu, to ci powiem wszystko....

Nadbiegła i pani Materska, wszyscy goście w handlu będący skupili się około Jana, bo już tam coś słyszeli o dziwnej historyi... wrzawa się stała wielka, a Janek uścisnąwszy Materskiego, skorzystał z zabałamucenia Brzeskiego i drapnął....

Była może godzina druga z południa.... o furkę nietrudno, rzucił się na pierwszą lepszą, od Prądnika.... A! i ta droga! ta droga... usiana była pamiątkami. Wysiadł pomodlić się pod figurą, niedaleko której spotkał wojewodzinę... Chłop, co go wiózł, nie mógł naprawdę zrozumieć panicza, i dla czego mu tak było pilno, że po tynfie ciągle nagląc o pospiech narzucał. Wreszcie pokazała się wieś, chata, stara grusza, podwórko i stajnia, której żuraw zgięty służył dotąd jeszcze. Janek wyskoczył z wozu, zapłacił furkę i odprawił.

Przed chatą było pusto zupełnie, pług wprawdzie leżał niedawno używany i brona, ale koło stajni i domu żywej duszy. W sieni dwie kury kwokały szukając posianego ziarna. Otworzył drzwi, w środku małe okienko słabo oświecało izdebkę... Dopiero po chwili, gdy się oczy oswoiły, dostrzegł na ławie siedzącą staruszkę, która trzymała kądziel i drzemiąc niby przędła...! Wrzeciono leżało na ziemi, palce jej jednak nie istniejącą nić ciągnęły pracowicie... Była to Hruzdzina, ale zestarzała wielce... Oczy źle jej służyły, ręce się trzęsły...

— A kto tam? — spytała ochrypłym głosem.

— Niech Chrystus będzie pochwalony.

— Na wieki. A któż tam?

— Swój, matko, swój, tylko zdaleka.

— Nie dowidzę; mówcie kto taki?

— To ja matko, to ja, po głosie byście może powinni poznać Janka?

— Janka? jakiego?

— Głupiego Janka, matuniu...

Staruszka się zatrzęsła, ruszyła, kądziel padła na ziemię... — O Chrystusie Zbawicielu! a czyż to być może!....

Janek się już rzucił całując pergaminowe ręce staruszki. — Tak, ja to jestem.

— O! mój Boże! zkądże ty? a jam cię opłakała? a to ty żyjesz jeszcze?

— Żyję, zdrów jestem i szczęśliwy, dużo mówić o tem... Umyślniem do was przyjechał, matko....

— Zkąd?

— Z Warszawy....

— A! czyż być może! toś ty o starej pamiętał! — Zaczęła płakać, bo starość i smutek i wesele opłakać musi.... Chwyciła go za głowę i poczęła całować.... Oczy niewiele jej służyły, więc rękami chciała zobaczyć, jak też ten Janek wyglądał; poczuła suknie cienkie i włosy jedwabne i zapach paniczowski od niego...

— Dziecko? cóż się z tobą dzieję? mów...

— Nic, matuniu: naprzód wy mi powiecie, co u was. Gdzież wasz...

Hruzdzina spuściła głowę i łzę otarła:

— Pochowali go łońskiego roku....

— A któż gospodarzy?

— Siostry córka i jej mąż... ale oni na polu....

— I jakże wam z nimi?

Pokiwała głową.

— Po ludzku... ni źle ni dobrze, starzy wszędzie ciężarem...

— A gdybym ci domeczek zbudował i sługę przyjął i...

— Daj ty mi pokój... ja mojej chaty nie opuszczę, choćby dla pałacu, tu już głowę położę...

Gdy Janek rozpowiadać począł o sobie, a rozwinął dary od matki i gościńce od siebie, Hruzdzina uszom i rękom wierzyć nie chciała. Właśnie na to nadeszli z pola młodzi i parobek, i nacinęsło się to wszystko słuchać a dziwować i przyjmować wojewodzica. Ba w pół godziny wioska niemal cała stała w progu, sieniach i na podwórku, tak że Janek do jutra żegnając Hruzdzinę musiał uciekać od ciżby, najął znowu wózek i nazad do Krakowa ruszył.

Wrócił Janek na Prądnik powtórnie i zastał tam nazajutrz całą niemal gromadę oczekującą na niego, pragnącą zobaczyć tego, co z chłopskiej sukmanki wyrósł na senatorskie dziecię. Odżyła nawet nieco stara Hruzdzina, bawiąc się prawie po dziecinnemu gościńcami przywiezionymi jej przez Janka. Wszystko to porozkładane leżało w izbie na podziw przybywającym, a stara płakała i błogosławiła wdzięcznego wychowańca. Namówić ją jednak na nowy domek, na wygodniejsze życie i mieszkanie, nie było podobna. Rodzina tej najuroczyściej przyrzekła, że jej na niczem w świecie zbywać nie będzie, że wszyscy się na posługi staruszki poświęcą. Janek ukląkł żegnając ją wreszcie, i pobłogosławiony drżącemi rękami, wzruszony i smutny odjechał, sprawiwszy jeszcze uroczyste nabożeństwo za duszę Hrużdy, choć go nieboszczyk za życia nie raz drapieżnie wytuzał nie wiedzieć za co. Dla czego dziś i to podwórko wiejskie i ten ciężki pług i stajenka uboga i wszystkie wspomnienia nędzy tyle dlań miały wdzięku? We dworze zapóźno dowiedziano się o przybyciu tego zbiega, i panicz, towarzysz zabaw Janka, sumitował mu się pokornie, przypominając dawnej znajomości a polecając protekcyi. Chcieli nawet dowodzić, że gdyby nie owa czupryna, nie owa groza chłosty i nie wszystkie wypadki, które do ucieczki zmusiły, kto wie, czyby Janek został kiedy wojewodzicem? Zatem należała pewna wdzięczność posiadaczowi czupryny... Janek uścisnął się serdecznie z dawnym znajomym i odjechał do Krakowa. Tu go czekali inni znajomi, przyjaciele, towarzysze, bo w szczęściu nigdy na nich nie zbywa. Za biedą nikt nie goni, bojąc się, ażeby nie była zaraźliwą.

Tu czekali nań państwo Materscy, którzy teraz jeszcze go mocniej kochali; przyszła stara Maciejowa ze łzami przypominać mu, jak kuchnię poczciwie i pokornie zamiatał; stawił się przezacny Bramiński, który niestety, mało miał już nadziei, ażeby został kiedy profesorem uniwersytetu, i przyjął obowiązki bibliotekarza przy bibliotece, której jeszcze nie było. Nawet pani Salomonowa chciała koniecznie zaprosić na obiadek panicza, który o mały włos nie został dozorcą jej dzieci, ledwie się pan Jan wymówić od tego potrafił, bo mu już czasu nie stawało.... Z uczuciem wielkiem odwiedził tylko grób kanonika na cmentarzu, i kamienicę Brzeskich, i ową izdebkę na strychu, w której się przemęczył nad książkami słuchając, czy miotła Maciejowej nie da mu znać, by jej posłużył około drewek i wody.

List matki, która umyślnym posłańcem dopominała się gwałtownie jak najprędszego powrotu, przyspieszył wyjazd z Krakowa. Wojewodzina niepokoiła się już o syna, o pobyt jego, o zdrowie, o znużenie, tęskniła za nim, nęciła go, aby do niej pospieszał. Trzeba więc było rzucić to gniazdo wspomnień i jechać do Warszawy.

Czule go powitano tutaj, jakby nie parę tygodni, ale lata całe niewidzianego. Przez czas niebytności Jana, matka nim żyjąc i myśląc tylko o nim, z pomocą poczciwego Bronisza, który jej w tem dzielnie dopomagał, dopełniała wyprawę zrobioną na prędce, chciała bowiem, ażeby syn jej mógł wystąpić, jak na potomka rodziny możnej przystało. Zdawało się sercu jej, że długo pozbawiony wszystkiego, co życie w młodości uprzyjemnić może, Janek będzie szczęśliwy z tego zbytku i świetności, z tych pieszczonych wygódek, które go otoczą; spostrzegła nierychło z podziwieniem, że chłopak z

wdzięcznością przyjmując te dowody jej troskliwości, prawie był niemi zakłopotany. Liczna służba, konie, powozy stanowiły dlań raczej ciężar i niewolę, niż przyjemność; nie widać było radości z tego, ale zakłopotanie, rumieniec wytryskał na twarz, a uprzedzające zabiegi Bronisza płacił uściskami i prośbą, aby się tak bardzo nie trudził.

— Wierz mi, drogi panie — rzekł mu jednego dnia — że ja doprawdy jeszcze tem wszystkiem cieszyć się nie umiem; wolałbym książki stare i spokojny kącik w którymbym jeszcze się uczył a uczył.

Na to wojewodzina i Bronisz uśmiechali się jak na dowód dziecinnych gustów wojewodzica, nie mogąc pojąć, aby tak poodzierane i szpetnie wyglądające szpargały, które zbierał, mogły mieć jakąś wartość i sprawić komuś przyjemność.

— Niech pan tych rupieci tu w Warszawie nie kupuje — rzekł w końcu Bronisz — bo u nas tego po strychach do licha się wala, i szczury to tylko jedzą, a jak zbierzemy, co jest w rezydencyi i po dworach i u oficyalistów, będzie tego na kilka pokoi od góry do dołu....

Z rozmów z synem przekonawszy się o jego pragnieniu nauki i widzenia świata, pani wojewodzina acz z bólem serca przystawała na myśl podróży do Włoch, Francyi i Anglii, odkładała ją tylko coraz do dalszego jakiegoś terminu, bo rozstać się z synem było trudno. Jedna tylko okoliczność jeszcze przemawiała za tą podróżą. Oko matki dostrzegło łatwo, iż między Janem a córkami pani pisarzowej częstszy jakiś zawiązywał się stosunek.... Ale Jaś wydawał się tak młody, dwie pisarzówny prawie dlań były już starsze, niż sobie życzyła. Ewunia zaś choć tak dobra, miła i piękna, była nieco ułomną i chorowitą, i matka myślała w duchu, że syn jej łatwo sobie świetniejszą jeszcze partyę wyszuka. Gdyby Jan żądał koniecznie, nie byłaby mu stawiła przeszkód, ale pragnęła może, ażeby się to rozchwiało. Podróż po Europie była najlepszym sposobem, najmniej widocznym, a najskuteczniejszem na te amory lekarstwem. Więc choć sercem wstrzymać pragnęła Janka, rozumem wyprawić go co prędzej starała się, szukając tylko kogoś, komuby jego niedoświadczenie powierzyć mogła. Zdziwił się Jan nieco, gdy zrazu zwlekana podróż, nagle potem zaczęła być przedmiotem codziennych rozmów, i zjawił się bardzo przyzwoity człowiek, mający mu towarzyszyć.

Janek, który tymczasem prawie codziennie bywał u pani pisarzowej, zbliżając się do Ewy, mniej znowu do wyjazdu miał ochoty. Ewa się jej obawiała i szeptała po cichu: „Może my kiedyś razem pojedziemy!" Ważył się więc ten wyjazd, tłumaczony trochę filuternie chęcią pozostania przy matce. Ale pora użycia wód karlsbadzkich mijała, ex-wojewodzina nie wybierała się już w tym roku, czując się lepiej, bo ją odzyskanie syna uzdrowiło. Natomiast mowa była coraz częstszą o powrocie na wieś, do której ciszy i życia tylu latami przywykła. Z panią pisarzową wcale o dzieciach mowy nie było. Gdy wreszcie coś nadal postanowić było potrzeba i albo razem wracać w Krakowskie, lub Jana za granicę wyprawiwszy, samej do domu odjechać, jednego ranka wszedł syn do pokoju ex-wojewodzinej i ucałowawszy jej kolana dał do zrozumienia, trochę się rumieniąc i mieszając, że ma z nią o czemś ważniejszem do pomówienia.

Domyśleć się było łatwo.

— Moje drogie dziecko — odezwała się w głowę go całując wojewodzina — po cóż te wstępy i ceremonie ze mną? Wiesz, że dla ciebie serce moje otwarte, że każdą myśl twą i pragnienie powierzyć mu możesz.... Bądź szczery, mów, co ci na myśl przyjdzie.

— A! matko kochana — odezwał się Jan, biorąc drzącą jej rękę — boję się okazać dziecinnym i zuchwałym razem.... Wypadek zapoznał mnie z domem pisarzowej, gdym był jeszcze ubogim i sierotą. Oni mnie wówczas nie odpychali. Przywiązałem się do Ewy, ona do mnie. Wiem, że jestem za młody, że nie czas mi myśleć o żenieniu, lecz niech mi wolno będzie zapewnić ją, że jej wiernym zostanę, niech moje słowo powtórzą usta matki, aby się stało uroczystszem, a ja cierpliwie czekać będę.

— Wojewodzina milczała chwilę; błagające wejrzenie dziecka ją rozbroiło.

— Cóż ja mogę mieć przeciwko temu, gdy serce twe ją wybrało? — rzekła — Ewa miła i dobra, rodzina zacna: straszy mnie jej zdrowie, chciałabym dla ciebie szczęścia.... Jeśli go gdzie indziej nie widzisz....

— Nie pojmuję, bym go mógł szukać

gdzieindziej — rzekł Jan — Ona dla mnie jedyną siostrą, narzeczoną, przyjacielem, wszystkiem; czuję, że bez niej żyćbym nie potrafił.

Wojewodzina położyła mu rękę na ramieniu.

— Mój Jasiu — rzekła — to dosyć, ja się nie sprzeciwię; powinieneś towarzyszkę życia sam sobie wybrać. Niech Bóg błogosławi, ale podróż wprzódy i rok cierpliwości.

Jan schylił się do kolan.... Wieczorem tegoż dnia pojechali do pisarzowej, a matka wiozła pierścionek, który na palec przyszłej córce z błogosławieństwem włożyła... i w kilka dni potem Janek z Mentorem za granicę wyjechał.

Moglibyśmy na tem zakończyć opowiadanie nasze, gdyby los pana Podskarbica, o którego może się zakłopotać czytelnik, nie domagał się epilogu. Zgon jego był też tak oryginalnym i nagłym, że mu się choć wzmianka należy.

Chociaż wszystko się tak jakoś złożyło, iż adoptowanie Janka nie dozwalało się domyślać prawdziwych aktu tego powodów, rozpowiadano bowiem ze strony Podskarbica, iż on się oddawna losem młodzieńca zajmował, że go sam przysposabiał na swego spadkobiercę, a wojewodzina tylko się na to później, poznawszy go, zgodziła.... przyjaciołka Podskarbica, hrabina Estella, zbyt lubiła opowiadać na ucho skandaliczne historyjki, ażeby się przed swymi serdecznymi przyjaciółmi i z tą wygadać nie miała, pod największym sekretem. Wiadomo zkądinąd, jak tego rodzaju największe sekreta się dotrzymują, gdy treść ich jest drażliwa i osobliwa; każdy się tym przysmakiem dzieli ze swoimi. Hrabinie Estelli zdawało się, iż opowiadanie przeszłości Podskarbicowi już dziś, gdy ona została naprawioną, wcale szkodzić nie mogło. Wyszeptała więc, co z ust samego Podskarbica o tem słyszała, swym poufałym; poszło to w świat od nich, wprawdzie nie jako rzecz zupełnie pewna, lecz jako nader prawdopodobna. Słuchając tego opowiadania i powtarzając je ludzie zwykle dodawali:

— Czy to tak było, czy nieco inaczej, coś w tem prawdy być musi, bo się takich rzeczy z palca nie wysysa a kiedy gadają, coś już musi być.

Na tem tle tedy snuto i haftowano mnogie waryanty czynów Podskarbica, życia jego i pożycia.

On tymczasem odzyskawszy władzę w rękach, spokojnie ciągnął banczek u hrabiny Estelli z zadowolnieniem ogólnem. Trafiło się jednego razu, że gra była znaczna, a stawiący przeciwko bankowi, pan kasztelan nowo kreowany, namiętnie się zapalał. Był to Dorobkiewicz, któremu szło o to, żeby się pokazał panem, i który tak dokazywał, iż krótko bardzo miał nim pozostać. Nieszczęściło mu się, a nie umiał *faire bonne mine a mauvais jeu*. W chwili, gdy przegrawszy pięć tysięcy czerwonych złotych, ostatni tysiąc miał stracić, karta padła nieszczęśliwa, kasztelan kartami rzucił o stół.

— Niech cię kaci porwą, greku jakiś! — zawołał. — Samem winien, bo któż gra z takimi rozbójnikami.

— Mości panie! — zawołał Podskarbic.

— Milczałbyś, stary djable — dodał przegrywający — Znają cię ludzie! Kto na niewinnego dziecka czychał życie, ten się na cudzy grosz zastawić sideł nie waha...

— Mości panie — ryknął Podskarbic, któremu oczy z pod powiek o mało nie wyskoczyły — mości panie, waćpan mi za to odpowiesz!

— Milczże ty stary trupie! Znają cię wszyscy, i ciebie i ten szanowny dom, w którym sprawiasz swe rzemiosło... rzezimieszek jesteś i kwita.

Podskarbic chciał się podnieść i zamierzył rzucić kartami w twarz przeciwnika, gdy ten uprzedzając go cisnął mu w oczy całą talią.

Podskarbic obalił się na poręcz krzesła. Zamęt stał się wielki, przyskoczono, by ich rozjąć, wpadła hrabina Estella, nadbiegli dalsi widzowie sceny. Podskarbic się nie ruszył... Tknięty został paraliżem powtórnie i śmiertelnie, i oddał ducha, niewiadomo komu.

Nazajutrz rozpowiadano, że przy grze było gorąco, okno otwarte, i że Podskarbica tak fatalnie zawiało... Przyczynę śmierci utajono dla honoru familii, a ciało nieboszczyka wywieziono pocichu na wieś do rodzinnych grobów, gdzie złożone zostało...

Hrabina Estella po utracie przyjaciela wy-

jechała wprędce na dewocyę do Lwowa i cała się poświęciła praktykom religijnym, prawdziwie budującym, łącząc do nich nadzwyczajną gorliwość w prześladowaniu tych, którzy jej dorównać nie mogli. Lat kilka jeszcze żyła otoczona czcią i szacunkiem powszechnym, a mowa pogrzebowa, którą wydrukowano po jej zgonie, świadczy po dziś dzień o cnotach, choć późno ale do wysokiej doskonałości przez nią doprowadzonych.

KONIEC.

Ita Hrabina na Toggenburgu.

Historya prawdziwa z XII wieku,

wielce nauczająca — osobliwie dla niewinnie cierpiących,

— przez —

KRZYSZTOFA SZMIDA

przepolszczona przez Ks. E. W.

ROZDZIAŁ I.

Z jakiej rodziny pochodziła Ita.

Będzie temu zapewnie ośmset lat, jak w kraju niemieckim zbawienne światło świętej Ewangelii Jezusa Chrystusa więcej już rozszerzone, swą Bozką mocą i niebieską jasnością dzikie namiętności oswoiło, surowe obyczaje złagodziło, wyższe i chrześciańskie uczucie w sercach ludzkich wzbudziło, wprowadzając w ówczesne towarzystwo cnoty ludzkości i miłości. W tych to czasach żyli w pięknie położonym starożytnym zamku nad rzeką Ilerą szlachetni hrabiowie Hartman i Oton na Kirchbergu, wielce poważani od swego monarchy dla swych osobistych przymiotów, zaś dla swej sprawiedliwości i dobroci od swych poddanych powszechnie kochani. Dwaj szlachetni bracia wedle ówczesnego zwyczaju towarzyszyli pierwszemu pochodowi krzyżowców do Palestyny. Biegli dopomódz w walce dla ocalenia owych miejsc świętych, gdzie się odbyły najważniejsze zdarzenia naszej świętej religii. Lecz nietylko ich zajmowało ogólne dobro chrześciaństwa, obchodziło ich także wiele powodzenie poddanych i własne dobro, dla którego wszelkiemi siłami wedle najlepszego przekonania pracowali.

Zakon Ś. Benedykta liczył podtenczas wiele zakładów pierwotnych. Każdy nieuprzedzony człowiek łatwo w tych zakładach spostrzegał najstósowniejsze narzędzia, za pomocą których rządząca Opatrzność w sercach ludzkich nasienia słowa Bożego, na nieuprawionej zaś i nieurodzajnej głębie krainy nasiona pożywnych owoców z najpomyślniejszym skutkiem zasiewała. Zdawały się być właściwie przeznaczone, by uprawiać serca ludzi pod nasiona wiary i cnoty, glebę zaś ziemną by wystarczyła ludziom i ich utrzymaniu. Dla tego zakonu postanowili szlachetni hrabiowie na Kirchbergu, Hartman i Oton, zbudować klasztor w swem hrabstwie; Nim się udali na wojnę krzyżową, zgromadzili potrzebnych robotników, oznaczywszy sumy pieniężne potrzebne do podjęcia budowy. Klasztor Ś. Błażeja w Czarnym Lesie posłał im na ich nalegania kilku Ojców zakonu. Gorliwem staraniem popierając zrobione przygotowania, doprowadzili do tego, iż w roku 1099 nowy kościół klasztorny przez Gebharda III, ówczesnego biskupa w Konstancyi, uroczyście po-

święcony i klasztor przez zakonników zajęty został.

Za pierwszego opata obrali sobie niejakiego Wernera.

Taki jest początek klasztoru Benedyktynów w Wiblingu, który od owego czasu został zarazem przeznaczony, by na przysłość w swych murach mieścił groby hrabiów na Kirchbergu.

Nowi mieszkańcy klasztoru dokładali wszelkich starań, by odpowiedzieć godnie pobożnym i sprawiedliwym oczekiwaniom założycieli. Zapaleni świętą gorliwością, pracowali niestrudzeni w winnicy Pańskiej. — Wpływem błogosławionej nauki Jezusa Chrystusa starali się zaszczepić w ludziach, a osobliwie w całej hrabskiej rodzinie, staranność o królestwo Boże, i prawdziwą chrześciańską miłość w ich sercach rozniecić. Nie mniej było ich zadaniem, własnym przykładem wzbudzić upodobanie w pracy, najgłówniej w rólnictwie. Nie dziw więc, że wkrótce okazały się błogie skutki ich trudów, nie tylko w całej okolicy, lecz także szczególniej wśród hrabskiej rodziny. Staraniem tej rodziny było odtąd, szlachetność wysokiego rodu połączyć z wyższą czyli raczej najszczytniejszą szlachetnością duszy, z cnotą i bogobojnością. Dzieci Hartmana, który jako starszy wiekiem, odziedziczył hrabstwo, były prawdziwą pociechą swych dobrych rodziców, i pewnym zadatkiem przyszłego i nieprzerwanego szczęścia dla poddanych. Wiernie wypełnianie pięknych obowiązków szlachty, obrona wdów i sierot, pomoc niesiona niewinnym i cnotliwym, wspieranie wedle sił świętej religii uszlachetniało serca młodych hrabiów. Niewinność i pobożność były ozdobą młodych hrabianek.

Piękne te cnoty szły spuścizną z rodziców na dzieci, na wnuków i prawnuków.

Zdarza się zaś, że w ogrodzie, w którym pełno kwiatów, jeden z tych kwiatów, ten lub ów, osobliwszą pięknością się wyszczególnia jako najpiękniejszy między pięknymi. — podobnie zdarza się w rodzinach. Mimo to, że wszystkie osoby rodziny są dobre i cnotliwe, jedna z tych osób najczęściej celuje nad inne jakąś szczególniejszą cnotą, będąc najlepszą między dobremi.

W hrabskiej rodzinie szczególnie cnotliwą i zapewne nieocenioną osobą była około środka 12 wieku młoda hrabianka Kirchberg, której nadano na chrzcie ś. imię Judity. Przez ściągnienie zgłosek imienia nazywano ją Itą.

ROZDZIAŁ II.

Wychowanie Ity.

O rodzicach Ity kronika klasztoru Wiblingskiego nic nie wspomina. Lecz z tych kilku słów, w których kronikarze o wychowaniu Ity wzmiankują, łatwo wnioskować można, że rodzice Ity byli pobożni i uczciwi, którzy w dobrem wychowaniu swych dzieci swe szczęście upatrywali. Uważali swe dziatki jako dary niebios, a swą rodzinę jako szkółkę niebios, w której Bóg nieba i ziemi wedle swego upodobania nowe latorośle zasadza. Mieli sobie więc za powinność te latorośle z rodzicielską pieczołowitością opatrywać, żywić i strzedz od szkodliwych wpływów, aby im samym i Bogu na pociechę wzrastały. — Itę wychowywano, jak historya powiada, z wielką troskliwością i uwagą. Już w najwcześniejszej młodości starali się troskliwi rodzice dostarczyć jej wszystkiego, coby zarody dobrego w niej wbudzić i wzmocnić, a równie szybko powstające zarody złego stłumić i zniszczyć mogło. Przyczyniali się także do wzrostu władz jej ciała i ducha.

Dalecy byli od tego, aby ją mieli spieścić przesadzoną pieczołowitością i zanadto wyszukanymi pokarmami. Z drugiej strony strzegli się znowu, aby jej nie osłabiać zanadto wielką surowością i pokarmami niestrawnymi.

Staraniem ich było, dać swojem dzieciom, a więc i tej córce wychowanie odpowiednie ich stanowi i przyszłemu przeznaczeniu. Pobożność rodziców już wcześnie obudziła zamiłowanie dzieci w tej pięknej cnocie. Ita pod słodkiem przewodnictwem matki, przyzwyczajała się do wszystkich pożytecznych prac i zatrudnień, które jej wiekowi i płci były odpowiednie. Pod okiem swej matki obeznała się z kołowrotkiem i nauczyła się na nim prząść, także szyć i haftować.

W kuchni zamkowej jako młoda kucharka rodziny, czasem także, gdy nadjechali goście, uczyła się smacznie przyprawiać potrawy. Spę-

dziła lata młodości nie na zabawach i roztargnieniach, lecz wśród pracy i nauki.

Najważniejszą rzecz dla każdego człowieka, jest religia, rodzice jej także ją za najważniejszą dla swych dzieci uważali. Skoro tylko spostrzegli, że młoda Ita jest w stanie rozumieć cóś i pojmować, zwrócili jej uwagę na najlepszego Ojca w niebiesiech. „Wszystko co dostajesz od nas," mówili bogobojni rodzice, „mamy w darze od Ojca niebieskiego; Jemu za to składaj podziękowanie serdeczne i błagaj Go o to, czego potrzebujesz!" Jezusa Chrystusa, zbawcę swego i odkupiciela poznała już w pierwszem zaraniu młodości.

Gdy jej opowiadano w krótkości piękną historyę o nim, dodając, jak w młodości dla nas ludzi zeszedł na ziemię — jak w młodości był ukochaną, posłuszną, pobożną dzieciną — jak w późniejszych latach nauczał ludzi, aby poznali Jego i ich wspólnego Ojca — i jak im wskazał, co mają czynić, by Mu się mogli podobać i dojść do nieba — natenczas słuchała z najwyższą uwagą; pragnąc ciągle, się jeszcze więcej dowiedzieć, jak Jezus ludzi nauczał, aby się do nieba dostali. Prędko się nauczyła tym sposobem wszelkich ważnych prawd wiary, ucząc się zarazem poznawać i wypełniać piękne cnoty jej wiekowi, stanowi i płci odpowiednie.

Prawie z pewnością wnioskować można, że się Benedyktyni do tego doskonałego wychowania niemało przyczynili, aby się okazać wdzięcznymi ku potomkom swych założycieli. — Uczynione im niedługo potem nowe darowizny wniosek ten jeszcze bardziej sprawdzają.

Żywione błogosławieństwem Bożem dobre wychowanie Ity, niewinne serce młodej dziewicy zrobiło wcześnie mieszkaniem cnót wszelkich, zasiewając w niem nasienia bohaterskiej cierpliwości i stałości. Dla tych cnót została dla wszystkich chrześcian najwznioślejszym wzorem chrześciańskiej bohaterki. Życie jej jasno dowodzi, że Bóg tym, którzy go kochają wszystko na dobre naprowadza, i że słaby i ułomny człowiek ufny w pomoc Bożą i w łasce Bożej swą moc mający, wszystko zdoła wykonać.

Judytha już wcześnie była pięknym wzorem pobożności i bojaźni Bożej; pilnie odwiedzała kościół, i lubiła bawić długo w domu Bożym; serdecznie kochała rodziców, dając ciągle tego dowody chętnem i punktualnem posłuszeństwem. Miłość jej obejmowała także innych ludzi; obchodziła się z służącymi swych rodziców tak jak z siostrami i braćmi; nie unosiła się pychą dla swego szlachectwa, i każdemu najbiedniejszemu nawet była chętnie pomocną. Zdobiła ją czystość i niewinność; rumieniła się, gdy słowo nieprzystojne w jej obecności wymówiono, i unikała każdej nawet pozornej sposobności do złego. Wzrastała równie w lata i siły, jak i w doskonałość chrześciańską i cnotę. Łaska Boża coraz widoczniej objawiała się w jej czynach, na wielką pociechę rodziców i wszystkich dobrych ludzi. Z rąk swych poczciwych rodziców odebrała Ita najdroższe błogosławieństwo niebios, dobre wychowanie — a najlepszą zapewnie nagrodą za ich starania, którym Bóg sprzyjał, były cnoty pobożności i poczciwości, które zdobiły ich córkę.

DOZDZIAŁ III.

Ita idzie za mąż, za Henryka hrabiego na Toggenburgu.

Z nadejściem dojrzalszego wieku młodej hrabianki, życzyli sobie jej rodzice, uszczęśliwić swę córkę, równie jak inne swe dzieci, zabezpieczając ich przyszłość w sposób najlepszy, aby z nich dożyć pociechy w starości.

Ita była swym rodzicom we wszystkim posłuszną, tak z uszanowania dla nich, jako też z posłuszeństwa dla Boga najlepszego Ojca. Błagała Boga często i gorliwie, by jej nie odmawiał swych błogosławieństw, i aby jej raczył przez usta rodziców oznajmić swą wolę. Prosząc o dobre powodzenie w przyszłości, chciała się przyczynić do zadowolenia swych rodziców, a przytem zapewnić sobie zbawienie. Pod wpływem tak pięknych zasad, zaczęła gorliwiej niż dotąd zajmować się gospodarstwem, aby kiedyś swe własne gospodarstwo dobrze prowadzić mogła. W cichości i w oddaleniu od świata upływało jej życie. Nauczona przykładem rodziców, przyszłość swą polecała opiece Bozkiej.

Pobożność jej i poczciwość niedługo pozo-

stały w ukryciu. Nigdy bowiem nie brakło ludzi, którzy są tych cnót lubownikami i umią je cenić. Cnotliwi szukając istot sobie podobnych, aby się z niemi połączyć, w cnotach osoby pożądanej widzą nietylko swe doczesne lecz i wieczne szczęście. I oto powód, dla czego Ita niedługo zostawała w ukryciu. Ile razy się ukazała w towarzystwie, stawała się przedmiotem podziwienia hrabiów i rycerzy przytomnych.

W roku 1197 była Ita z swymi rodzicami na turniejach w Kolonii, które był wyprawił hrabia na Hanawie. Tam ją poznał młody hrabia na Toggenburgu. Ten słysząc, jak ją ze wszech stron chwalono, i jak przyjaciele jego przyznawali jej najpiękniejsze zalety, już ją wtenczas w swem sercu wybrał za małżonkę Zaraz po skończonych turniejach wrócił do swej majętności, a ztamtąd udał się do Kirchbergu, aby się o tem naocznie przekonać, co o Icie słyszał, i aby wcześnie wybadać, czyli młoda hrabianka i jej rodzice zechcą się przychylić do jego życzeń.

Henryk, piękny młody mężczyzna, z dawnej szlacheckiej krwi, był w posiadaniu pięknego i pod ówczas sławnego hrabstwa Toggenburskiego. Zamieszkiwał stary zamek swych przodków, który niedaleko klasztoru, zwanego Fischingen, na wysokiej skale położony, z natury i sztuką dobrze obwarowany, śmiało się opierał burzom rozchukanych wichrów i napadom nieprzyjaźnych ludzi. W czasie ostatnich turniejów dał Henryk jasne dowody swej zręczności i męzkiej siły. Podczas krótkiego pobytu w Kirchbergu, przez prawe, stanowi swemu i wiekowi odpowiednie postępowanie, pozyskał sobie szacunek i przychylność całej hrabskiej rodziny. Wszyscy widzieli w nim owego prawego męża, który jako małżonek bogobojnej Ity, spełni pobożne ich życzenia, i córkę hrabstwa prawdziwie uszczęśliwi. Henryk znowu, mógł się z pewnością spodziewać, że cnotliwa, urodziwa i luba panienka będzie dobrą małżonką, i że przeżyje z nią lata pociechy.

Skoro tylko wyznał Icie swą szczerą miłość, a rodzicom oświadczył zamiar swych odwiedzin, uzyskał ze strony Ity zapewnienie serdecznej wzajemności, i ze strony rodziców zupełne zezwolenie. W kilka dni potem, jeszcze w tym samym roku 1197 spełniło się jego życzenie. Odprawiono uroczyste wesele, i Ita z Henrykiem sakramentem małżeństwa połączeni zostali.

W sam dzień wesela wręczył Henryk swej młodej małżonce szczególnie piękny złoty pierścień, wysadzony drogimi kamieniami, który jako obraz wieczności, miał jej co chwila przypominać jego wierność i miłość serdeczną.

Szczera i niewinna uciecha zapełniała odtąd dni owej rodziny. Ależ zbliżała się chwila, w której dobra córka miała pożegnać rodziców, braci i siostry, przyjaciół i innych dobrych ludzi, i opuścić miejsce urodzenia, gdzie tyle niewinnych uciech doznała. Prawdziwemu chrześcianinowi jednak, nigdy nie braknie pociechy. Pocieszali się więc rodzice i córka, przypominając sobie wzajemnie, że ojcowskie błogosławieństwo niebios spoczywa na tych, którzy Bogu wierni; że nie masz miejsca, gdzieby człowiek nie był pod opieką Boga; że Bóg złączy w niebiesiech dobre swe dzieci; tam się wszyscy obaczą, używając wiecznego szczęścia. Myśli podobne niosą ulgę przy rozstaniu; one także wśród tej rodziny rozstanie znośniejszem uczyniły.

Nadszedł dzień odjazdu młodego hrabstwa, Ita, wśród błogosławieństw swych rodziców, wśród życzeń rodzeństwa i przyjaciół, wybrała się w towarzystwie swego małżonka i licznego dworu z domu rodzicielskiego, udając się na miejsce przyszłego przeznaczenia. Po kilku dniach podróży przybyła zdrowo i wesoło do starego zamku Toggenburgskiego, siedziby swego małżonka. Po wszystkich drogach i na około zamku licznie zgromadzeni poddani witali ją jako swą panią, a słudzy Henryka jako swą gospodynię. Przyjmowano i witano ją ogólnie z wszelkiemi oznakami radości i życzeniami szczęścia.

ROZDZIAŁ IV.

Ita używa szczęścia w małżeństwie.

Będąc jeszcze w stanie panieńskim starała się Ita wypełniać sumiennie obowiązki stanu panieńskiego, z swą niewinnością umiała sobie zapewnić błogosławieństwo Bozkie na przyszłość. Z równą sumiennością wypełniała ważne i święte powinności stanu małżeńskiego, chcąc

się stać godną ciągłej dobroci i łaski Bożej. Owe ważne słowa kapłana, któremi jej przy ślubie zalecał, by swemu małżonkowi jako głowie rodziny była posłuszną i pomocną we wszystkim, by mu aż do śmierci pozostała wierną — owe słowa w całej ważności swej utkwiły jej głęboko w pamięci. Mieściły w sobie wszystkie obowiązki małżonki; ona je też nie zapominała, aby je zawsze ściśle i wiernie wykonać.

Przyzwyczajonej w domu ojcowskim do posłuszeństwa łatwą było rzeczą wypełnienie posłuszeństwa ku małżonkowi; tem bardziej, że dobry Henryk nie chciał uchodzić za samowładnego pana domu, i nie udzielał surowych rozkazów. Jako uprzejmy małżonek, który swą żonę jak siebie samego kochał, objawiał z miłą grzecznością swoje życzenia; a jako człowiek poczciwy nie wymagał nic nad słuszność, potrzebę lub pożytek. Zawsze jednak oboje byli tylko ludźmi; zaś w ludziach zwykły się objawiać skutki grzechu pierworodnego, z tą chyba różnicą, że jedni mają mniej drudzy więcej wad i ułomności. Henryk nie umiał się powstrzymać, jeśli go opanował gniew; rzadko utłumiał w sobie tę nieszczęsną namiętność. Ita zapewne nie raz doznała nieszczęsnych skutków jego nagłości, w której zwykle nierozważnie postępował. Lecz rządzona chrześciańską miłością, którą sobie miała za powinność, ulegała mu w takich chwilach. Nie drażniła jego gniewu, owszem starała się go ułagodzić. Spodziewała się, iż swą łagodnością i uległością zdoła tę namiętność stłumić z czasem.

Jeżeli się Henryk uniósł gniewem, zapobiegała ile możności wypływającym ztąd złym skutkom; boleść, której doznawała wtenczas, znosiła cierpliwie. To bowiem, co Św. Paweł powiedział do wszystkich chrześcian, aby sobie dopomagali wzajemnie w znoszeniu ciężarów życia, aby swe wady znosili cierpliwie, i aby jeden drugiego z łagodnością naprowadził na dobrą drogę — to się szczególniej do małżonków stosuje. Jeśli wedle tej świętej rady sobie postąpią, wypełnią tem samem owe przykazanie Jezusa Chrystusa: ,,kochaj bliźniego twego jak siebie samego." To zaś przykazanie w zastósowaniu do małżonków opiewa tak: ,,Kochajcie się wzajemnie, boście sobie najbliżsi, i spełniajcie wasze obopólne życzenia."

Trzymając się tego Ita, mało smutnych chwil liczyła w swym małżeńskim stanie; za to użyła więcej chwil wesołości i zadowolnienia. Pożycie jej z Henrykiem upływało w miłej zgodzie, życzenia ich były zgodne we wszystkiem; zdawało się, że jedną mieli wolę. W samotnym zamku, oddaleni od gwarliwych uciech świata, używali daleko słodszych uciech małżeńskich.

Jeśli zaś czasem Henryk był w złym humorze i okazywał się kapryśnym, umiała to Ita łagódnem wesołem spojrzeniem i zabawną pogadanką usunąć. Henryk się też za to przyczyniał chętnie do rozweselenia swej małżonki.

Używając wesoło doczesnej szczęśliwości bogobojni ci małżonkowie, nie zapominali jednak, jak wiele ludzi tego świata, o Bogu i o większych jeszcze uciechach niebieskich. Widzieli właśnie w swem szczęściu powód, aby mieć ciągle przed oczyma Boga, dawcę wszelkiego prawdziwego dobra, aby mu jak najczęściej na kolanach, za ojcowskie błogosławieństwo dzięki składać. Polecali się mu codziennie podczas Mszy św., ofiarując się razem z Jezusem Chrystusem i starając się tak uzyskać ojcowskie udzielenie wiecznych pociech w niebie.

Ita, wzór pięknych pobożności i Bożej bojaźni, opuszczała, jeśli jej tylko powietrze i gospodarstwo pozwalały zamek, nawiedzając uroczyste nabożeństwa w klasztorze Fischingen lub w kościele Matki Bozkiej wśród doliny, lub też inne nabożnemu jej usposobieniu odpowiednie miejsca. Przystępowała często i ze szczerem nabożeństwem do św. sakramentów, aby w nich zaczerpnąć potrzebnej niezbędnie łaski i pomocy niebios i pomnażać takowe. Temi wsparta starała się wypełniać święte swe powinności i z chrześciańską statecznością znosić cierpienia i przeciwności; tym sposobem spodziewała się za grobem zbawienia wiecznego.

Oprócz tego nie jedną chwilę poświęcała samotnej modlitwie. Szczególniej jeśli czuła ciężar dręczących ją trosk i cierpień, zwykle zamykała takowe w swem sercu, objawiając jedynie Bogu w modlitwie i swemu doradzcy sumienia w spowiedzi — a nigdy jej nie zbywało na potrzebnem wewnętrznem pocieszeniu. Spełniała więc doskonale ów dwoisty rozkaz Zbawiciela: z gorącością serca modliła się na osobności, jeśli tak okoliczności i potrzeby wymagały.

Lecz nie mniej przyświecała także światłem świętego przykładu w obec ludzi by widzieli jej

sprawy dobre, i wypełnieniem podobnych dobrych uczynków, by uwielbiali jej Ojca w niebiesiech.

Henryk i Ita nie mieli z sobą żadnych dzieci. Może dla tego, że mądra Opatrzność Boża wielkie cierpienia dla tej małżonki przeznaczyła, wpośród których czułe macierzyńskie serce, w rozdzieleniu od dzieci mogło było uledz boleściom a dzieci bez matki przy ojcu nękanym wyrzutami sumienia, a więc niezdolnym, by czuwać nad niemi, mogły były zostać zaniedbane na ciele i duszy — zapewne dla tego miało to stadło dla świata być niepłodne, aby ztąd dla wiary i nieba hojniejsze i pożądańsze owoce wynikły.

ROZDZIAŁ V.

Ita poczciwa gospodyni i pociecha swych poddanych.

Słudzy i poddani Henryka cenili go wysoko i kochali go wprawdzie jako swego pana dla jego poczciwości, dla dobrodziejstw, któremi ich obdarowywał, i dla tych czasów radosnych, które lub już przeżyli pod jego panowaniem, lub też jeszcze dożyć spodziewali się na przyszłość. Niezawodnie jednak spostrzegli w nim niedobrą namiętność wybudzającego gniewu, a może nieraz byli zmuszeni znosić złe skutki nagłości jego gniewu.

Nic więc ani rozsądniejszego ani lepszego nie mogło być ich życzeniem nad to, jak ażeby zwykle dobry, uczynny i godny przychylności ich pan dostał za małżonkę łagodną, pobożną i miłującą kobietę, którаby swą roztropnością i bojaźnią Bożą, będąc w posiadaniu jego serca, jego cnoty ustalić, panującą zaś namiętność za czasem stłumić i nieszkodliwą uczynić potrafiła.

Przyjęci takiemi życzeniami oczekiwali słudzy Henryka u bramy starego zamku swej przyszłej pani.

Mnóstwo poddanych Henryka w czasie wjazdu Ity znajdowało się u stóp góry zamkowej i po drogach, któremi miała przejeżdżać, by w pierwszych łaskawych spojrzeniach swej pani wyśledzić to pocieszne zapewnienie, że przez nią ich gorące pragnienia spełnione zostaną.

Pierwsze widzenie Ity stało się dla nich dostateczną obietnicą wszystkiego dobrego. W jej pięknej twarzyczce odgadli prawdziwy obraz niewinności, łagodności i bogobojności. Gdy im Ita za ich szczere życzenia serdecznie dziękowała, odwzajemnjając przyjazne ich powitania i rozmawiając z nimi z wszelką przystępnością, gdy spostrzegli dalej jej wytrwałą cierpliwość wśród natłoku ludzi, i miłość Henryka ku swej małżonce, nabierali otuchy, że się spełnią ich nadzieje. I w samej istocie, nie oszukali się.

Ita była dla sług zamkowych prawdziwą matką, czego się już po jej wychowaniu spodziewać było można. Wśród swych domowników nie odgrywała roli wyniosłej samodzielnej pani, lecz była troskliwą i miłującą matką. Nie wymagała od nich nic nad siły, naprowadzała wszystkich do pracowitości, zachęcała do miłości braterskiej, wskazywała, by sobie byli chętni ku wzajemnej pomocy. Każde swe przychylnością tchnące słowo popierała swym własnym przykładem. W całem prowadzeniu domu wiele jej zależało na utrzymaniu przystojności, porządku i czystości. Każda praca miała swój czas przeznaczony, każdy domownik miał wyznaczone zatrudnienie. Sama zaś była wszędzie ową krzątającą się troskliwą Martą, która tu zarządzała, owdzie zaś sama podzielała prace.

Przy tem wszystkiem nie zapomniała o swej najpierwszej i najpotrzebniejszej cząstce Maryi: o Jezusie Zbawicielu, o jego Bozkim słowie i świętym przykładzie.

Łatwo wnioskować, że ta która sama pierwsze chwile dnia każdego w świętej modlitwie Bogu poświęcała, która w urządzeniach i zwyczajach naszego świętego kościoła najlepszy pokarm dla swej pobożności, a w środkach zbawienia naszej świętej religii potrzebny dla duszy swej pokarm czerpała — że ta nie zaniedbała zapewnie tej najważniejszej rzeczy wśród swoich domowników. Wiedziała dokładnie jako dobra chrześcianka, że w on dzień wielki sądu Bożego za każdego i najniższego z sług swoich, surowy rachunek Bogu będzie musiała złożyć.

Każdego dnia rano widziano w kaplicy zam-

kowej w czasie Mszy ś. nietylko Henryka i jego małżonkę, lecz także cały ich dwór około nich zgromadzony. Tu wszyscy przytomni najdroższą ofiarę na zgładzenie grzechów — samego bowiem Jezusa Chrystusa — z winną czcią i pobożnością wspólnie z kapłanem Ojcu niebieskiemu składali, by dostąpić błogosławieństwa dla oczekujących każdego z nich zatrudnień. Niedziele i święta święcono dokładnie, jako dni Bogu poświęcone, i nikt z zamkowych nie mógł bez ważnej przyczyny wymówić się od nabożeństwa. W czasie nabożeństwa wszystkich oczy i serca były ku Bogu zwrócone; z uwagą przysłuchiwali się wszyscy słowu Bożemu. I tak — a nawet inaczej dziać się nie mogło — przyczyniła się ta hrabska rodzina, wywyższona jako świecznik w tym celu od Boga, swym przykładem do rozszerzenia prawdziwego dobra, do rozpowszechnienia prawdziwej pobożności w swych włościach i w sąsiednich. Osobliwie swoim poddanym stała się ona źródłem niebieskiego błogosławieństwa i niewinnych chrześciańskich uciech.

Radość poddanych pomnażała się coraz bardziej, gdy widzieli, że Ita posiadała sposób, jak poskramiać swą miłością i przychylnością niepohamowany gniew Henryka; że umiała złym skutkom onegoż, jeśli już wybuchł, swem roztropnem pośrednictwem zapobiedz a zimnej rozwadze i rozsądkowi czas uzyskać.

Dobre serce Henryka odzywało się i wtedy, gdzie przez swą popędliwość niewinnemu dokuczył, starał się według słuszności sprawiedliwość wymierzyć i poczciwym uciechę sprawić, tak, że ani w zamku, ani w hrabstwie nie było przyczyny uskarżać się na dokuczliwe skutki jego porywczości.

Niejednemu winnemu nawet przemożnem swem przyczynieniem się umiała Ita uzyskać darowanie lub zmniejszenie kary. Z chęcią to zawsze czyniła, ile razy w błagającym widziała pewne oznaki żalu i szczerej poprawy. Szczególniej rozciągała się jej opieka i dobroczynność nad dobrymi, którzy byli w biedzie i nędzy. Jak matka opiekowała się nimi, obsypując ich rozmaitymi darami, w czem jej Henryk bynajmniej nie przeszkadzał, który na podobieństwo Boga, pragnął być równie po ojcowsku dobroczynnym ku swoim podanym, jak Bóg był dla niego; a wiedział, iż mu się to najlepiej uda za pośrednictwem Ity. I miałże Bóg, który sam powiada: „Błogosławieni miłosierni, bo oni miłosierdzia dostąpią — i szklanka wody pragnącemu podana będzie tak wynagrodzona, jak gdyby Jemu samemu była udzielona"— miałże mówię, Bóg bez wszelkiej litości karać błędy tych małżonków, a ich wielkie i mnogie dobrodziejstwa, które czynili, zostawić bez nagrody?

Ile razy kto z rodziny odwiedził Itę obchodzono w zamku Toggenburskim prawdziwe uroczystości rodzinne. Z duszy serca się cieszono widząc się wzajemnie przy zdrowiu i wesołości. Każdy miał wiele dobrego do opowiadania; do północy schodziło przy wesołych pogadankach, wśród dziękczynienia Bogu za udzielenie tak chojnego ojcowskiego błogosławieństwa. Maleńkie dolegliwości, których ta lub owa osoba wśród rodziny doznawała, przyniosły zawsze jakieś dobre i pożyteczne skutki i następstwa, jak zwykle chłosty ojcowskiej ręki Boga; z tej strony się też na takowe zapatrywano i przyjmowano je wdzięcznie jako dobrodziejstwa niebios.

Nawet wtenczas jeszcze, kiedy już skryte cierpienia niewinną duszę Ity nękały, nie zasmucała tych dni błogich ani najlżejszem westchnieniem, wierząc mocno, że tylko jeden Bóg może jej być pomocą, i pewnie dopomoże, jeśli uzna tego potrzebę. Sam Henryk, który swej podejrzliwości niczem ani najmniej nie był w stanie usprawiedliwić, unikał nawet jej pozoru i okazywał się wszędzie jako poczciwy miłujący małżonek swej z serca sprzyjającej mu Ity. Z tej przyczyny starała się zawsze hrabina przedłużyć odwiedziny swych krewnych, o ile tylko mogła, w czasie tychże albowiem używała szczęśliwych dni przeszłości. Goście z Kirchbergu każdego razu wracali do siebie z tem zupełnem przekonaniem, że Ity życie w Toggenburgu upływa wesoło, szczęśliwie i z jej zadowolnieniem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

SZEWC MARCIN BRACISZKIEM KLASZTORNYM.

W pewnem miasteczku był szewc Marcin, który od wtorku do niedzieli, a często i w niedzielę siedział nad butami. Gdy już robotę pooddawał, wtedy szedł w niedzielę po południu, aby żydom za skóry wzięte na bórg trochę odpłacić, a potem zszedłszy się z sąsiadami, w szynku pił bez upamiętania i wracał zwykle nad ranem do domu. Obudziwszy się rano co poniedziałek, a czując się po przepitku ociężałym, słabym, nasz majster szedł znowu do miasta, aby klin klinem wybić: pił znowu więc cały poniedziałek; dopiero we wtorek koło południa zasiadł powoli do roboty. Z tej przyczyny w domu Marcina była nędza tak wielka, żebyś jej i siekierą nie wyciął. Żona Marcina, kobieta trzeźwa, pracowita, oganiała się biedzie, jak mogła. Prosiła, napominała męża, wskazywała mu dzieci bose, obdarte, groziła sądem Bożym; ale to wszystko nadarmo, bo Marcin zamiast brać sobie słowa poczciwej żony do serca i głowy, strzelił nieraz do niej kopytem, albo niemiłosiernie zbił i wygnał. Marcinowa znosiła to wszystko długo i cierpliwie, modliła się, prosiła Boga o nawrócenie męża pijaka, a gdy to wszystko nie pomagało, zrozpaczona, co dalej pocznie, poszła do klasztoru na mszą św. Gdy się podczas mszy św. rzewnie płacząc modliła, wpadła jej do głowy taka myśl, aby iść do księdza gwardyana, opowiedzieć wszystko i prosić o jaką radę.

Jak sobie umyśliła, tak też zrobiła. Po mszy św. idzie i opowiada wszystko księdzu gwardyanowi, który wysłuchawszy jej cierpliwie, pocieszył, jak mógł strapioną kobietę i polecił jej, aby mu dała znać, gdy mąż dobrze upity przyjdzie do domu i będzie spał.

Niedługo czekała Marcinowa na to, bo już tego samego dnia, wróciwszy do domu, zastała męża prawie bez duszy leżącego. Wraca więc do klasztoru i opowiada o tem księdzu gwardyanowi.

X. gwardyan natychmiast kazał zaprządz konie do woza, posłał braciszka z silnym parobkiem, i polecił śpiącego szewca ostrożnie włożyć na wóz, aby się nie przebudził, i przywieść go do klasztoru; tymczasem kazał wypróżnić jedną celę i w niej przygotować habit zakonny. Wysłany braciszek sprawił się wybornie; przywiózł śpiącego szewca do klasztoru, wniesiono go do celi, zdjęto z niego suknie i obleczono po zakonnemu.

Szewc Marcin śpi sobie jak za dobrych czasów w domu, tymczasem w nocy o dwunastej godzinie dzwonią, zakonnicy wstają, i idą do chóru.

Brat Bonifacy otwiera celę, w krórej umieszczono szewca, a widząc go śpiącego, woła:

— Bracie Hilary, trzeba wstawać, czas do chóru!

Szewc nagle przebudzony mruczy pod nosem:

— Ja szewc Marcin, nie Hilary, — i przewrócił się na drugi bok, Brat Bonifacy woła znowu:

— Nie mów głupstw, nie mrucz, tylko wstawaj, bo bracia już w chórze; — a gdy się szewc ociągał, odjął brat Bonifacy pas jak pociągnie szewca raż, drugi i trzeci węzłami, jak zakrzyknie; „do chóru,” tak Marcin skoczył na równe nogi, przeciągnął się, ziewnął, a gdy oczy otworzył, spojrzał naokoło siebie po celi i po sobię, spokorniał i mówi:

— Ej, prosze Jegomości, przecie ja szewc Marcin nie żaden braciszek.

— Ani słowa — zawołał brat Bonifacy — jesteś bratem Hilarym; rozespałeś się, nie wiesz co pleciesz, ruszaj do chóru.

Szewc widząc, że brat Bonifacy znowu podnosi pasek do góry, przestraszony wychodzi z celi i za bratem idzie do chóru. Wszedłszy tam, zobaczył wszystkich zakonników w kapturach na głowie, odmawiających pacierze. Stał

chwilę w kącie, myśli, co się z nim stało wciąż mu się zdaje, że on szewc Marcin, nie żaden braciszek. Chce sobie przypomnieć, gdzie ostatni raz był, kiedy przyszedł do domu, zkąd się tu wziął w klasztorze, gdzie jego ubranie, zkąd na nim habit zakonny? ale ani rusz, nie może sobie tego wytłumaczyć. Raz się mu robi zimno, to znów gorąco, nareszcie uklękł, złożył ręce, poczyna odmawiać pacierz z pokorą. Zakonnicy skończyli pacierze, wychodzą z chóru, a za nimi postępuje nieśmiało brat Hilary. Wszedł na długi korytarz, tu widzi drzwi koło drzwi, nie wie gdzie ma wejść, spieszy za bratem Bonifacym, bo tylko tego jednego poznał po tych węzłach, którymi od niego dostał po grzbiecie, i prosi, go aby mu wskazał, gdzie jego cela? Brat Bonifacy rzecze do niego.

Co się tobie bracie Hilary dzieje, coś ci się we śnie w głowie pomięszało, przecież nie od dziś w tej oto celi mieszkasz, idź połóż się, bo niedługo znów będą dzwonić do chóru.

Marcin wszedł do wskazanej celi, zamknął ze złością drzwi za sobą i mówi sam do siebie: „Poczekaj, pójdę ja ci do chóru, będziesz mię tam widział.” Idzie, odmyka okno w myśli aby przez nie wyskoczyć, ale jakże się zasmucił, gdy spostrzegł, iż okno zakratowane, kładzie się na łóżko, na którem nic nie było oprócz trochę starej słomy, ale nie śpi, tylko myśli, żeby się jakim sposobem z tego klasztoru wydobyć. Gdy zauważył, że już wszyscy śpią, wstał wyszedł cichutko z celi na korytarz, szuka żeby gdzie znaleźć drzwi otwarte ale darmo. Widząc, że nie ma rady, wrócił do celi; ledwo się jednak położył, aż tu znowu dzwonią. Teraz już nie czeka, aż brat Bonifacy przyjdzie go budzić, tylko, wstaje sam czemprędzej i idzie. Gdy z chóru wrócił do celi, za chwilę brat Bonifacy otwiera drzwi i woła:

— Bracie Hilary, pójdź ze mną do ogrodu.

Gdy to szewc usłyszał, ucieszył się bo pomyślał, że ztamtąd będzie mógł drapnąć. Idzie więc czemprędzej za bratem Bonifacym do ogródka, ale jakież było zdziwienie, gdy zobaczył ogród otoczony naokoło takim murem wysokim, żeby trzeba było bardzo długą przystawić drabinę, aby się po niej na mur dostać. Brat Bonifacy podał mu łopatę i wskazując kawał ziemi rzekł:

— To trzeba dziś skopać i grządki porobić.

(Dokończenie nastąpi).

DODATEK DO HISTORYI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Posiadłości angielskie w północnej Ameryce.

Ukończywszy spis główniejszych wypadków w historyi Stanów Zjednoczonych, podajemy krókie notatki o innych częściach Ameryki.

Ameryka brytańska obejmująca tak wielki obszar jak Stany Zjednoczone, leży na północ od nich i rozciąga się także od Atlantyku aż do oceanu Spokojnego. Jest podzielona na dwie części polityczne: Canadę i Nową Fundlandyę. Canada składa się z następujących prowincyi: Quebec, Ontario, New Brunswik, Nowa Scotia, Manitoba, Prince Edwards Island i Columbię brytańską wraz z terytoryami północno-zachodniemi.

Nowa Scotia została odkrytą w r. 1497 i nasamprzód osiedloną przez Francuzów, którzy ją nazwali Acadią; później dostała się w ręce angielskie. W roku 1784 ujęto pewną część i nazwano New Brunswik.

Już w poprzednich rozdziałach jest wzmianka, że Anglii dostały się wszystkie posiadłości francuzkie, na mocy pokoju w r. 1763 zawartego. W 1791 r. podzieloną Canadę na dolną i górną, lecz w r. 1840 znowu połączono te prowincye. W kilka lat później podzielono ją na cztery inne: Quebec, Ontario, New Brunswick i Nowa Scotia, do których później przybyły trzy inne — Manitoba, British Columbia i Prince Edwards Island. Stolicą całej Canady jest Ottawa, przy złączeniu rzeki Ottawa i Rideau kanału leżącą.

Podczas niektórych peryodów była Canada sceną ważnych wypadków, o których w toku opowiadania historyi Stanów Zjednoczonych wzmiankowaliśmy.

Hudson zatokę odkrył Cabot w roku 1512. Przez długie lata prowadzili Francuzi znaczny handel z Indyanami mieszkającymi w okolicach leżących na zachód zatoki. W 1670 r. utworzyła się kompania Hudson zatoki, która się wnet zbogaciła. Obecne posiada tam nad wybrzeżem Labrador i po całej okolicy liczne składy. Największe osady znajdują się w pobliżu James zatoki.

Dość ważną osadą jest ta, która leży na wyspie Vancouver. Wielu z tamtejszych osadników poświęca się łowom, inni rolnictwu. Inna znaczna osada utworzyła się nad rzeką Frazer, gdzie niedawno temu odkryto bogate pokłady złota. Wszystkie te osady należą teraz do „British Culumbia.“

Okolice nad wybrzeżem północnem.

Na północ osad angielskich mieszkają Indyanie małego wzrostu zwani Eskimosami. Żywią się po większej części rybami a zimą jadą po lodzie na saniach ciągnionych przez psów. Historya w ogóle mało co o nich wspomina. Są podobni do Samojedów w Azyi, z którymi są niezawodnie spokrewnieni.

Bardziej na północ jeszcze leży „Greenland“ którą to wyspę uważano dawniej za część stałego lądu amerykańskiego. Odkrył ją w r. 981 Islandczyk, który tam założył osadę; kwitła ona przez długi czas, lecz później zaginęła zupełnie. Nikt nie umie powiedzieć co się stało z jej mieszkańcami. W roku 1585 odkrył wyspę tę powtórnie niejaki Davis. W r. 1721 uworzył na niej kolonię Hans Egede Norwegczyk. Kolonia ta choć jest małą istnieje dotychczas; w jej pobliżu natrafiają się wieloryby.

Cały północno zachodni róg północnej Ameryki zajmuje Alaska. Jest to kraj zimny zomieszkały przez Eskimosów i Indyan. Ci sprzedają futra handlarzom przebywającym nad wybrzeżem. Głównem miastem jest Sitka na wyspie Baranow. Okolicę tę odkrył w r. 1741 Witus Behring będący w służbie rosyjskiej, który odkrył także cieśninę noszącą jego nazwę a rozdzielającą Azyę od Ameryki. Stany Zjednoczone kupiły terytoryum to w r. 1867 za $7,200,000. W Sitka osiedlili się Moskale w r. 1799.

W okolicach biegunowych szukano już dawno przejścia z oceanu Atlantyckiego do Spokojnego, lecz daremnie. W nowotnych czasach puścili się w strony te lodowate Parry, Ross, Back, Franklin i inni. Franklina wysłano z Anglii w r. 1845 z dwoma okrętami, lecz aż do roku 1859 nie słyszano nic o nim. W tym roku znaleziono szkielety jego i jego towarzyszy na wyspie King William, która jak się zdaje stała się ich grobem.

Indye Zachodnie.

St. Salvador, pierwsza wyspa, którą Columbus odkrył, nazywa się obecnie “Cat Island,” i należy do wysp Bahamas, należących obecnie do Anglii, w pobliżu których dawniej utrzymywali się liczni rozbójnicy morscy. Historye tych wysp nie przedstawiają nic ciekawego.

Wyspę Cuba, największą w Indyach Zachodnich odkrył Columbus w roku 1492. Posiada piękny i łagodny klimat, żyzną rolę i jest niezawodnie jedną z najpiękniejszych wysp na całym świecie. Indyan tam przebywających pobił Velasyuez w roku 1511 a .wyspa zaludniła się szybko Hiszpanami. Hiszpanie wytępili ich wkrótce i odtąd są w posiadaniu tej wyspy.

Hayti przezwana przez Columbusa Hiszpaniola, została przez niego odkrytą także podczas pierwszej podróży; tu założył miasto St. Domingo w r. 1496. Francuzi nazwali całą wyspę St. Domingo i podzielili się nią z Hiszpanami w roku 1722, lecz w 1789 r. wybuchła rewolucya, a Hiszpanie jako i Francuzi z niej zostali wypędzeni przez murzynów, którzy w r. 1809 oświadczyli swą niepodległość, i do tego czasu są niepodległymi.

Portorico było piękną i ludną wyspą gdy Columbus ją odkrył w roku 1493 i należy od tego czasu do Hiszpanii. Jamaica należała aż do roku 1655 do Hiszpanii, lecz w tym roku zajęli ją Anglicy i posiadają jeszcze dzisiaj. Tu wydarzają się często trzęsienia ziemi i huragany.

Na południowym wschodzie od tych wysp, znajduje się inna grupa znana pod nazwą Caribbees. Główniejszemi wyspami są: Antigua, Barbadoes, Tobago i Trinidad należące do Wielkiej Brytanii a Guadeloupe i Martinicoe są koloniami francuzkiemi. Krajowcy tych wysp zwani Karibami różnili się od Indyan pozostających na wyspach Cuba, Portorico i Jamaica. Ci ostatni byli łagodnymi, zniewieściałymi a Karibi dzikimi, odważnymi i wojowniczymi. Pomiędzy sobą obchodzili się łagodnie i przyjaźnie, lecz każdego cudzoziemca uważali za nieprzyjaciela.

Zdaje się, że zrobili już niejakie postępy w cywilizacyi, gdy Columbus wyspy te odkrył, lubili wolność i raczej umierali, aniżeli się mieli poddać zwycięzcom. Wkrótce też wyginęli.

Są tam jeszcze inne wyspy należące do różnych mocarstw europejskich. Możemy tylko powiedzieć, że Indye Zachodnie były nieraz widownią rozbojów i gwałtów. Gdy nowy świat odkryto, krajowcy zostali uwięzieni, mordowani lub musieli pełnić służbę niewolników. Podczas wojen mocarstw europejskich były często zabierane, na nowo odbierane itd. i cierpiały wszystkie klęski wojny, będąc prócz tego napadywane przez rozbójników morskich, którzy nawet pewnego razu zajęli miasto Havana i podobnież Port au Prince.

(Dokończenie nastąpi.)